

Teksty Drugie 2007, 4, s.15-24



CENTRUM  
HUMANISTYKI  
CYFROWEJ

# **Polskie doświadczenie kolonialne.**

Grażyna Borkowska

## Grażyna BORKOWSKA

### Polskie doświadczenie kolonialne

I.

Nie jestem antropologiem kultury ani nawet literaturoznawcą o zacięciu antropologicznym; moja obecność w tym gronie\* wynika bardziej z uprzejmości gospodarzy niż z jakichkolwiek zasług na rzecz reprezentowanej przez nich dziedziny. Zdecydowałam się jednak na udział w konferencji, ponieważ chwytliwość pewnych formuł dociera nawet do uszu laika, budząc czasem jego zainteresowanie, czasem niepokój, a czasem zdziwienie. Do takich zagadkowych pojęć należy – moim zdaniem – krytyka postkolonialna. W odniesieniu do kultur pozaeuropejskich jej przedmiot wydaje się jasny i przekonujący: badanie residuów zależności między imperium a skolonizowanymi peryferiami. Co jednak termin „postkolonializm” oznacza w odniesieniu do kultury polskiej? Kto jest kolonizatorem? Rosja wobec Polski? Czy na przykład Polska wobec Ukrainy? Kto jest przedmiotem kolonizacji: Polska rozbiorowa czy ziemie wschodnie dawnej Rzeczypospolitej zamieszkałe w większości przez ludność białoruską, litewską, ukraińską i poddawane uciskowi ze strony polskiej szlachty? Czy rusyfikacja to synonim kolonizacji? A może rację mają Litwini przełomu XIX i XX wieku, którzy właśnie polonizację, utożsamianą często wyłącznie z atrakcyjnością języka polskiego i polskiej kultury, traktowali jak narzucone im siłą działanie kolonizacyjne?

Nie zamierzam roztrząsać szczegółowo kwestii, czy pojęcie „postkolonializmu” użyte w odniesieniu do problematycznego dziedzictwa, jakie zostawia każde rozbite imperium (a więc na przykład Rosja lub Rzeczpospolita Obojga Narodów)

---

\* Referat wygłoszony w maju 2007 w Poznaniu na konferencji *Jaka antropologia literatury jest dzisiaj możliwa?*

jest sensowne<sup>1</sup>. Mam wiele wątpliwości, ale nie one będą przedmiotem mojego wystąpienia. Zastanawia mnie inna kwestia: jak wobec tych metaforycznych (i niejednoznacznych) w przypadku Polski sposobów użycia perspektywy postkolonialnej, coraz częściej jednak podejmowanych, sytuować całkiem dosłowną i rzeczywistą (bezdyskusyjną w tym sensie) postać tego zjawiska, tzn. polski apetyt na kolonie z lat trzydziestych XX wieku, o którym właściwie nic lub prawie nic się nie pisze.

## 2.

Przyjrzyć się temu zagadnieniu częściowo, korzystając z przykładu Ligi Morskiej i Rzecznej, organizacji społecznej utworzonej w roku 1924 z myślą o wspieraniu polskiej żeglugi morskiej i lądowej, marynarki wojennej i wiedzy o morzu, a także organów prasowych tej instytucji<sup>2</sup>. W roku 1930 przywołana organizacja przekształca się w Ligę Morską i Kolonialną, a jej ówczesny prezes, generał Gustaw Orlicz-Dreszer formułuje program, który obok innych punktów, częściowo zgodnych z pierwotnym statutem organizacji, stawia nowe zadania: „pozyskanie terenów celem zapewnienia narodowi polskiemu nieskrępowanej ekspansji ludzkiej i gospodarczej oraz do koncentracji wychodźstwa polskiego na obczyźnie i podtrzymywania jego spójni z krajem ojczystym”<sup>3</sup>. Liga działała poprzez swoje jednostki terenowe: większe, okręgi, i mniejsze, liczące przynajmniej 20 osób, oddziały. Władzę najwyższą sprawował Walny Zjazd, organizowany co dwa lata. We władzach Ligi zasiadali na ogół ludzie powiązani z rządem Rzeczypospolitej, który subsydiował poczynania Ligi dopóty, dopóki nie była ona w stanie utrzymać się ze składek członkowskich. Liga – z organizacji efemerycznej, skupiającej w początkowych latach działania kilka tysięcy osób, stała się pod koniec lat trzydziestych organizacją masową, zrzeszającą milion członków. Dalsze plany, przerwane przez wojnę, przewidywały rychłe podwojenie liczby stowarzyszonych.

<sup>1</sup> Zaznaczę tylko nawiasowo, iż rozszerzanie pojęcia postkolonializmu na każdy kulturowy dyskurs władzy wydaje mi się nielogicznym nadużyciem, burzącym doniosłość ustaleń Saïda. Badacz rezerwował to pojęcie dla relacji kultur, z których jedna z racji swej egzotyki lub oddalenia od uznanych centrów nie miała własnej reprezentacji – była skazana na cudzy dyskurs. Pojęcie to w żadnej mierze nie odnosi się do relacji między kulturami europejskimi oraz ich stosunku do Rosji (stąd mój sceptycyzm wobec rozpraw E. Thompson, C. Cavanagh oraz ich polskich naśladowców).

<sup>2</sup> Pomocną okazała się tutaj książka A. Nadolskiej-Styczyńskiej *Ludy zamorskich lądów. Kultury pozaeuropejskie a działalność popularyzatorska Ligi Morskiej i Kolonialnej*, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Wrocław 2005. Liga wydawała od 1924 roku miesięcznik „Morze”, przemianowany w roku 1939 na „Morze i Kolonie”, a także kilka innych periodyków, które zostały uwzględnione przeze mnie w mniejszym zakresie.

<sup>3</sup> G. Orlicz-Dreszer *Program Ligi Morskiej i Kolonialnej*, Nakładem Instytutu Ligi Morskiej i Kolonialnej, Warszawa 1931, s. 6.

Liga prowadziła szeroką działalność szkoleniowo–propagandową, która miała przekonać społeczeństwo, głównie zaś młodzież, o atrakcyjności morza jako drogi transportu i ewentualnego pola bitwy. Organizowano zbiórki pieniędzy, z których częściowo sfinansowano m.in. budowę okrętu wojennego ORP „Orzeł”, kilku ścigaczy, kanonierek. Odrębne zadania postawiono przed powołanym w roku 1932 Funduszem Kolonialnym:

Program zamorski Polski, przygotowywany w ciągu szeregu lat przez naszą organizację, został ustalony. Zmierza on w sposób zdecydowany ku zapoczątkowaniu akcji kolonialnej Narodu i Państwa naszego, a to w imię najżywniejszych interesów gospodarczych i populacyjnych Polski. Dzisiaj, kiedy opracowaliśmy tezy dla naszej ekspansji kolonialnej i kolonizacyjnej i kiedy stwierdziliśmy, że nie do pomyślenia jest, aby nadal polska gospodarka narodowa miała pozostawać w tak dużej, jak dotychczas zależności od obcych – musimy się zdobyć na zapoczątkowanie stopniowego zrzucania hegemonii nad nami – obcych interesów ekonomicznych.<sup>4</sup>

Owo zrzucanie zależności od innych oznaczało zastąpienie emigracji zarobkowej, która odciążała przeludniony kraj, nie przynosząc mu jednak dodatkowej korzyści, osadnictwem kolonialnym, prowadzonym systematycznie na słabo zaludnionych terenach Afryki, Ameryki Południowej, a także Oceanii. Zakup towarów wyprodukowanych przez polskiego osadnika lub surowców wydobytych przez niego z egzotycznej ziemi miał być korzystniejszy od transakcji dokonywanych z obcym partnerem. Za „wzór innym” służyła należycie zorganizowana kolonizacja niemiecka w Ameryce Południowej. Bo chociaż Niemcy kolonii w sensie politycznym nie posiadali, to jednak prowadzili zdecydowaną politykę kolonialną. Jak pisał publicysta „Morza”: „Faktorie niemieckie, filie banków niemieckich, niemieckie linie okrętowe – zdolały opasać cały świat”<sup>5</sup>. Dla Polski chciano co najmniej tego samego. Argumentowano, że kraj z półmilionowym rocznym przyrostem ludności, z gęstością zaludnienia przekraczającą (w roku 1932) 80 osób na kilometr kwadratowy i rzeszą bezrobotnych wieśniaków wędrujących do miasta może uratować przed ekonomiczną degrengoladą tylko korzystne pozyskiwanie surowców i rynków zbytu dla własnych towarów, a w dalszej kolejności – akcja kolonialna.

Na poparcie tego stanowiska przytaczano opinie obcych sław i autorytetów, m.in. Mussoliniego, który w jednej ze swych „wielkich mów” (jak to określił publicysta „Morza”), wygłoszonych w pierwszej połowie lat trzydziestych, miał powiedzieć (cytuję za miesięcznikiem w nie najlepszym przekładzie):

Naród włoski jest nadzwyczaj płodny! Jestem z tego zadowolony! Nigdy nie będę popierał propagandy ograniczenia urodzin. Ze są narody, których ludność nie powiększa się, to może być tylko powodem, abyśmy byli dumni z naszego kwitającego rozrostu. Na tym małym półwyspie, który ma 40 milionów mieszkańców, urodzenia przewyższają śmiertelność o 440 tysięcy. Liczby te wykazują, przed jak wielkim problemem stoimy. Wobec zwiększania się liczby ludności znajdujemy się przed trzema alternatywami (*sic!* – G.B.):

<sup>4</sup> *Musimy stworzyć „Fundusz Kolonialny”!*, „Morze” 1932 nr 3, s. 23.

<sup>5</sup> Tamże.

samych siebie skazać na bezpłodność – Włosi są jednakże za inteligentni, aby to uczynić, prowadzić wojnę lub znaleźć możliwości przemieszczenia naszego nadmiaru ludności.<sup>6</sup>

Program Ligi jest bliźniaczo podobny, argumentacja również: rozwiązać problemy ekonomiczne i demograficzne mogą tylko kolonie.

Publicyści Ligi Morskiej i Kolonialnej zachęcają do aktywności społecznej i do wspierania ich akcji; jednocześnie – wiążą duże nadzieje ze zmianami europejskiego układu sił i ewentualnymi przetasowaniami ustalonego po roku 1918 porządku kolonialnego. Latem roku 1932 prasa polska przynosi sensacyjną informację o rzekomym przyznaniu Kamerunu Włochom (w ramach rewizji mandatów poniemieckich), a publicysta „Morza” mimochodem zaznacza: „Przy sposobności należy zwrócić uwagę, że w razie zgłoszenia pretensji przez Niemcy [chodzi o podział kolonii po roku 1918] głos miałyby również i Polska jako państwo sukcesyjne po byłym imperium Cesarstwa Niemieckiego”<sup>7</sup>. Zauważmy, że pretensje niemieckie w nikim nie budzą lęku ani nikogo nie dziwią, sprzyjamy im, ponieważ stwarzają obietnice zmian, z których chce skorzystać Polska nie jako państwo skrzywdzone przez Rzeszę i zniszczone przez wojnę i odradzające się po 120 latach niewoli, ale jako sukcesor pokonanego imperium! Parcie w kierunku uzyskania kolonii jest tak silne, iż publicyści „Morza” rozważają wszystkie drogi realizacji tego celu. W odniesieniu do terenów już rozdzielonych między Wielką Brytanię, Francję, Belgię i Japonię bierze się pod uwagę następujące ewentualności: likwidację Ligi Narodów, która stoi na straży pokoju wersalskiego, podbój terytorium mandatowego, a także nową repartycję, która dokonywałaby się za zgodą dotychczasowego mandatariusza<sup>8</sup>. Księżycowość tych projektów nie budziła raczej większych zastrzeżeń lub była zupełnie lekceważona, skoro tylko raz miesięcznik „Morze”, główny propagator idei kolonialnej, wdał się w szeroką polemikę z krytycznym artykułem Karola Rosego opublikowanym w „Kurierze Polskim”, przytaczając ponownie wszystkie (znane nam już) argumenty na rzecz rozwijania akcji kolonialnej<sup>9</sup>.

Czasami publicyści „Morza” szukali uzasadnienia dla podjęcia osadnictwa kolonialnego w sferze innej niż praktyka życia i warunki ekonomiczne. W artykule na temat polskich praw do kolonii jego autor pisał:

Tytuły prawne ludów europejskich do posiadania obszarów kolonialnych noszą zgoła odmienny charakter od prawa do ziemi ojczystej w Europie, od wieków przez dany naród zasiedlonej i zagospodarowanej, stanowiącej jego kolebkę, jego, żeby się tak wyrazić, dobra rodowe. Tytuł kolonialny jest to w jednym skrajnym wypadku odwieczne prawo objęcia w posiadanie „rzeczy niczyjej”, pustych przestrzeni, stanowiących dotychczas

<sup>6</sup> *Opinie obce o współczesnej polityce kolonialnej i kolonizacyjnej*, „Morze” 1932 nr 3, s. 24. W tekście mówi się o „umieszczeniu naszego nadmiaru ludności”. Uznałam to za lapsus.

<sup>7</sup> *Pionier Istota naszej akcji kolonialnej*, „Morze” 1932 nr 7-8, s. 30.

<sup>8</sup> H. Sukiennicki *Międzynarodowe mandaty kolonialne*, „Morze” 1933 nr 1, s. 21.

<sup>9</sup> W. Rosiński *Czy Polsce potrzebne są kolonie*, „Morze” 1933 nr 4, s. 21-22.

królestwo przyrody, wspólnej matki ludów, przez pierwszego, kto na nim swą nogę postawił i godło swego narodu rozwinął, w innych skrajnych wypadkach jest to prawo silniejszego zaborcy do panowania nad krajami już zasiedlonymi częstokroć przez ludy o wspólniejszej przeszłości historycznej, odrębnej i szanownej cywilizacji: jak na przykład Indie czy Egipt. Między tymi dwiema ostatecznościami znajduje się cały szereg typów pośrednich: obszarów słabo zasiedzonych, na wpół pustych, posiadających zdolność wyżywienia i utrzymania kilka czy kilkadziesiąt razy więcej ludzi niż dotychczas. Powszechnie uznawanym tytułem ludów europejskich do panowania nad ludami innych części świata była ich wyższość cywilizacyjna, szczególnie wyższość w organizacji technicznych dzieł komunikacji, nawodnienia, wyzyskania bogactw przyrodzonych i pojemności rynków wewnętrznych. Moment eksploatacyjny wysuwał się w całym szeregu kolonii na plan pierwszy przed momentem osadniczym, szczególnie tam, gdzie bądź to zaludnienie, bądź warunki klimatyczne nie pozwalały na osadnictwo białych.<sup>10</sup>

Ani filozofia „rzeczy niczyjej”, ani – tym bardziej – prawo silniejszego nie stanowiły uzasadnienia wystarczającego, by uznać racje kolonizatorów. Wiemy z relacji podróżniczych, iż żadna właściwie wyprawa afrykańska nie mogła skończyć się sukcesem bez udziału ludności tubylczej, jej wiedzy i pomocy. Tam zatem, gdzie docierali konkwistadorzy, znajdowali się również tubylcy. A prawa polskie, o których mówi tytuł cytowanego artykułu, co z nimi? Otóż, autor wyjaśnia, że Polska z racji liczby ludności daje gwarancję trwałego zagospodarowania i zasiedlenia objętego terytorium. Jeśli bowiem podbój oparty jest na wyższości technicznej, tubylcy po jakimś czasie mogą mu sprostać, ucząc się od Europejczyków uprawy roli lub sposobów nawadniania terenu. Jeśli podbojowi towarzyszy napływ ludności europejskiej, wrastającej w egzotyczną ziemię, kolonizatorzy zyskują jeszcze jeden atut, coś w rodzaju praw wynikających z zasiedzenia.

Rok 1934 przynosi w kwestii kolonialnej dwie istotne zmiany: coraz częściej prasa informuje o rozchodzących się interesach Polski i Niemiec. Kwestionowanie przez Rzeszę polskiego dostępu do morza budzi zastrzeżenia Ligi Morskiej i Kolonialnej; zrazu nieśmiałe, z czasem coraz wyraźniejsze<sup>11</sup>. W tym też okresie po raz pierwszy bodaj sprawa emigracji zamorskiej została powiązana ze sprawą żydowską. Franciszek Łyp, jeden z autorów „Morza”, pisał:

Nadchodzą wiadomości, iż rząd portugalski gotów jest otworzyć dla osadnictwa żydowskiego kolonię swą, Angolę. Według projektu tego osadnikami mają być Żydzi, którzy zmuszeni byli lub muszą w przyszłości opuścić Niemcy. Po przybyciu do Angoli Żydzi mają być umieszczeni w osiedlach rolnych, specjalnie dla nich założonych, na których rozbudowę rząd portugalski udzielił pożyczek, oraz przyjdzie z pomocą finansową różnym gałęziom przemysłu, jakie rozwiną Żydzi na terenie angolskim.<sup>12</sup>

Coraz częściej pojawiają się też w polskiej prasie kolonialnej informacje o Palestynie, która została objęta mandatem brytyjskim, i – zgodnie z deklaracją Bal-

<sup>10</sup> A. Plutyński *Prawa Polski do kolonii*, „Morze” 1934 nr 6, s. 21.

<sup>11</sup> M. Pankiewicz *O Polskę kolonialną*, „Morze” 1934 nr 8-9, s. 5.

<sup>12</sup> F. Łyp *Projekt osadnictwa żydowskiego w Angoli*, „Morze” 1934 nr 2, s. 23.

foura – jej część ma stać się siedzibą państwa żydowskiego. W następnych latach kwestia ta zmienia się o tyle, że pisze się już nie abstrakcyjnie o emigracji żydowskiej poza Europę (do Palestyny, Angoli, na Madagaskar), ale o polskiej racji stanu związanej z tymi planami:

Wśród państw, widzących w należyтым palestyńskim rozwiązaniu rozstrzygnięcie szeregu własnych gospodarczych i populacyjnych zagadnień, Polska zajmuje miejsce specjalne. Drugie co do liczebności światowe skupienie Żydów w jej granicach, najwyższy jej udział w masie autochtonicznej ludności, ich zbyt jednostronny zawodowy i społeczny układ ustrojowy, znaczne, a szczególnie rolnicze, przeludnienie jej terytoriów i płynące stąd trudności gospodarcze i konieczność poszukiwań emigracyjnych wyjść dla własnej autochtonicznej ludności, tym imperatywniej domagają się znalezienia określonego i pewnego odpływu dla jej wychodźstwa żydowskiego.<sup>13</sup>

Rzeczywiście, tak się stało... Od roku 1936/37 sformułowania dotyczące problemów kolonialnych zaczynają brzmieć coraz bardziej imperatywnie: żądamy, domagamy się, musimy dostać, walczymy. Liga znajduje jeszcze jeden sposób artykulacji swego programu: organizuje coroczne „Dni kolonialne”. Trwają z każdym rokiem dłużej, co najmniej pół tygodnia, czasami łączą się ze świętem morza i przybierają formę wielkiego festynu ludowego. Jak donosi prasa Ligi, ulicami miast i wsi ciągną pochody, których uczestnicy domagają się kolonii. Oczywiście, coraz bardziej imperatywnie. Na zdjęciach zamieszczonych w miesięczniku „Morze” widzimy tłumy ludzi, kobiety w zapaskach okrywających ramiona: to fragment pochodu w Piotrkowie Trybunalskim<sup>14</sup>. Pod innym zdjęciem, znów wypełnionym ludźmi, ubranymi z miejska i z wiejska, widnieje podpis: „Ludność okolicznych wsi wzięła żywy udział w Dniach Kolonialnych w Janowie Podlaskim”<sup>15</sup>. W roku 1938 manifestują wszyscy i wszędzie: Lwów i Chmielnik, Białystok i Warszawa. Ta ostatnia m.in. na wielkiej akademii zorganizowanej w gmachu cyrku<sup>16</sup>. W sprawozdaniu dokumentującym życie codzienne organizacji natrafiamy na zdjęcie członków Ligi z okręgu kielecko-radomskiego, którzy odbyli latem 1938 roku wycieczkę do Gdyni i okolic. Mężczyźni idą zwartym szykiem i niosą transparenty. Można odczytać treść jednego z nich: „Jesteśmy jednej krwi!”<sup>17</sup>.

Coraz ciekawiej brzmią też relacje dziennikarskie z tych obchodów:

Od rana we wszystkich miastach odbywały się uroczyste nabożeństwa, w czasie których wygłaszane były podniosłe kazania okolicznościowe. Ulicami miasta przeciągały wielotysięczne tłumy w imponujących pochodach. Szli przedstawiciele władz państwowych i samorządowych, przedstawiciele wojska, organizacje społeczne, zawodowe, szła młodzież, kupiectwo, rzemiosło, szły liczne delegacje przybyłe ze wsi. Nie brakowało przed-

<sup>13</sup> R. Piotrowicz *Mandat Palestyny*, „Morze” 1937 nr 9, s. 16.

<sup>14</sup> „Morze” 1938 nr 5, s. 23.

<sup>15</sup> Tamże, s. 24.

<sup>16</sup> Tamże, s. 25.

<sup>17</sup> *Z życia organizacji*, „Morze” 1938 nr 9, s. 35.

stawicielei żadnego odłamu społeczeństwa. Niesiono liczne transparenty z postulatami kolonialnymi. Nierzadko pochód imponował doprawdy niebywałymi rozmiarami, gdyż na przykład w Poznaniu ilość uczestników doszła do 40 000, a w Toruniu do 20 000, a jednocześnie pochody budziły zainteresowanie swoją malowniczością, którą zawdzięczały pomysłowości organizatorów. Jechały wozy, strojne w tropikalną roślinność, wiozące towary kolonialne, jak kaczuk, bawełnę i kakao; w Radomiu harcerze uformowali malowniczą karawanę kupców arabskich.<sup>18</sup>

W roku 1939 Ligę zdominowały dwa tematy: bitwa o Gdańsk i emigracja żydowska. Publicysta, kryjący się pod pseudonimem Lemanus, wyjaśniał, iż pragnienie wysiedlenia Żydów z ziem polskich można wziąć za przejaw nacjonalizmu, podobnego do „totalnego” nacjonalizmu niemieckiego i włoskiego. Różnica miałyby polegać na tym, że nacjonalizm polski nie bierze się z doktryny, ale z ewolucji, „jaką przechodzić musi każdy dynamiczny naród w przeludnionym kraju, w którym ma niezaprzeczone prawo urządzić się nie tylko politycznie, ale i gospodarczo według własnych żywotnych potrzeb”<sup>19</sup>. To zdanie należy rozumieć tak, że chłop, emigrujący do miasta i przysposobiony do rzemieślniczego fachu, nie powinien natrafiać na żydowską konkurencję. Ale żeby tak się stało, trzeba skierować do Palestyny i na inne tereny „nie użytkowane” około 6 milionów Żydów europejskich, w tym co najmniej półtora miliona Żydów polskich. Sprawa trudna, ale przy dobrej woli państw kolonialnych, posiadających terytoria zamorskie w słabo zaludnionych częściach Afryki, i przy wykorzystaniu kapitału żydowskiego, który musi łożyć na swoją drogę do wolności, możliwa do realizacji. Zauważmy, że porządek postulatów zgłaszanych przez Ligę odpowiadał ewolucji polityki europejskiej, szczególnie niemieckiej. Od kwestii surowców i poszukiwania nowych rynków zbytu dla własnych towarów, przez sprawę emigracji osiedleńczej do emigracji żydowskiej. Podobnie ewoluował ton wypowiedzi, które stawały się coraz bardziej gwałtowne, ultimatywne.

### 3.

Jakie było miejsce programu Ligi w historii politycznej Drugiej Rzeczypospolitej? W historii jej kultury? Z licznych wzmianek, pojawiających się w różnych numerach „Morza” można wnioskować, iż początki były organizacyjnie trudne. Postulaty zgłaszane przez zwolenników porządku kolonialnego, na przykład żądanie przydzielenia Polsce Kamerunu (jak mniemam w nawiązaniu do wyprawy, którą w latach 1882–1886 prowadził Stefan Szolc-Rogoziński) budziło w Sejmie zdziwienie i śmiech. Także komentatorzy zagraniczni podkreślali, iż program Ligi nie jest popierany przez rząd i władze Rzeczypospolitej. Chociaż w prasie wydawanej przez Ligę nie brakuje informacji innego typu: świat zaczyna dostrzegać polskie aspiracje kolonialne, komentuje je i gotów jest przyjąć je do wiadomości. Tu

<sup>18</sup> Po „Dniach kolonialnych”, „Morze” 1938 nr 5, s. 23.

<sup>19</sup> Lemanus *Emigracja żydowska*, „Morze i Kolonie” 1939 nr 1, s. 3.



i ówddie pojawiają się nawet głosy poparcia. Może jako przeciwwaga dla aspiracji niemieckich? A sprawa akceptacji ze strony polskich władz? Czy ta sytuacja nie uległa w drugiej połowie lat trzydziestych gwałtownej zmianie? Przecież w prasie Ligi coraz częściej spotykamy zdania podszyte satysfakcją, iż to, co pierwotnie budziło rozbawienie, zostało przyjęte przez opinię publiczną (przynajmniej jej część) i przez przedstawicieli rządu (przynajmniej niektórych). Skoro generał Sosnkowski podjął się funkcji protektora Ligi, skoro program O.Z.N-u (wprawdzie tylko O.Z.N-u<sup>20</sup>) otworzył się na postulaty kolonialne, a trybuna Sejmu i Senatu wielokrotnie stawała się tym miejscem, w którym odpowiadano na zapytania i interpelacje dotyczące emigracji żydowskiej na tereny pozaeuropejskie, skoro przedstawiciele najwyższych władz państwowych coraz częściej udzielali wywiadów redaktorom „Morza”, skoro pismo wprowadziło nowe rubryki: „Sprawy kolonialne w Sejmie”, „Sprawy kolonialne w Sejmie i Senacie”, skoro wystąpienia sejmowe zakończone taką formułą: „Polska kolonie mieć musi i [...] w walce o ten postulat nie ustanie ani na chwilę” wywoływały huczne oklaski<sup>21</sup>? Skoro tak, to czy można jeszcze mówić, że kwestia kolonii była egzotyką polityczną, marginesem? Nieszkodliwym wariactwem?

Pamiętajmy też, że Liga realizowała się także poprzez instytucje towarzyszące, które powstawały dzięki jej pomocy: m.in. Instytut Morski i Kolonialny (1937), Międzywydziałowe Studium Kolonialne zorganizowane z inicjatywy MSZ przy Uniwersytecie Jagiellońskim (1939), Instytut Higieny Morskiej i Tropikalnej w Gdyni. Program tych instytucji wykraczał poza politykę bieżącą, zawierał istotne postulaty naukowe, które dobrze służyły rozwojowi rozmaitych dziedzin wiedzy, na przykład oceanologii czy medycyny tropikalnej. Uderza jednak to, że organizowane w ramach tych badań wyprawy miały często charakter poufny i były finansowane przez Ligę<sup>22</sup>, a nie katedry uniwersyteckie czy agendy rządowe, z czego można chyba wysnuć uprawniony wniosek, iż nie było większych rozbieżności między celami stawianymi przez badaczy różnych specjalności a tymi założeniami ideologicznymi, które przyświecały zwolennikom kolonializmu. Jedni i drudzy musieli akceptować ideę kolonialną jako sposób rozwiązania dylematów nie tylko naukowych.

Historycy pisali o Lidze Morskiej i Kolonialnej oraz samym kolonializmie polskim mało i skromnie<sup>23</sup>; działalność kolonialna nie doczekała się też wielkich

<sup>20</sup> *Tezy programowe O.Z.N. w zakresie zagadnień kolonialnych*, „Morze i Kolonie” 1939 nr 4, s. 22.

<sup>21</sup> *Sprawy kolonialne w Sejmie*, „Morze i Kolonie” 1939 nr 1, s. 19.

<sup>22</sup> Informacje te czerpię z książki A. Nadolskiej-Styczyńskiej *Ludy zamorskich...*, s. 39-41.

<sup>23</sup> Oczywiście, nie mogę nie wspomnieć m.in. o pracach W.T. Drymera *Zagadnienie żydowskie w Polsce w latach 1935–1939. Wspomnienia pracy w MSZ*, *Zeszyty Historyczne*, Paryż 1968; A. Garlickiego *Problem kolonialny w opinii MSZ w 1936 r.*, w: *Naród i państwo. Prace ofiarowane Henrykowi Jabłońskiemu w 60. rocznicę*

reprezentacji literackich, jeśli nie liczyć kilkudziesięciu (czy raczej: kilkuset) reportaży z Afryki i innych egzotycznych części świata, m.in. Kazimierza Prószyńskiego, Jerzego Lotha, Jana Hirschlera, Janusza Makarczyka, Mieczysława Lepeckiego, drugorzędnych powieści Antoniego Ossendowskiego, Arkadego Fiedlera czy braci Giżyckich (Jerzego i Kamila). „Kolonialna” literatura podróżniczo-reportażowa, publicystyka i powieści dla młodzieży stanowiły jednak trwale obecny element polskiego życia literackiego w latach trzydziestych. I dopominają się osobnego opracowania. No i, przede wszystkim, ten milion ludzi zrzeszonych w Lidze, utrzymujących ją mimo kryzysu gospodarczego i polskiej biedy, czyż nie powinien stać się przedmiotem refleksji? Czy powody, dla których tak tłumnie i szumnie przychodzono na wiece, są jasne? Propaganda? Delikatny przymus ze strony prawniczych elit? Sugestia, że to patriotyczne i że tak wypada?

Smakowanie kolonializmu u schyłku kolonialnej epoki najwyraźniej musiało mieć swój urok. Tym bardziej, że praw do eksploataowania cudzej ziemi nigdzie właściwie nie łączono z nowymi obowiązkami, na przykład wobec ludności tubylczej. Tubylcy pojawiają się w tych projektach i opisach raczej rzadko; nikt nie pyta ich o zdanie, zgodnie z przyjętą zasadą „ziemi niczyjej”. Aktywność polityczna Afrykańczyków dziwi, ale nie budzi głębszej refleksji; powstania i bunty tłumaczy się prosto – docierająca także na Czarny Łąd – propaganda komunistyczna, a hasło „czarna Afryka dla czarnych”, choć tak podobne do hasel głoszonych wówczas w bardziej cywilizowanych miejscach świata, odrzuca się jako nonsens. Wszystko to jednak sprawia, iż polskie doświadczenie kolonialne, pozostające częściowo w sferze projektu, zrealizowane tylko wybiórczo (poprzez zakładanie osad i plantacji oraz reportażowy opis tych zmagañ), mówi nam to i owo o nas samych.

I nawet nie chodzi o to, że nie byliśmy lepsi od innych, bo cały świat akceptował ideę kolonialną, a my dawno zapomnieliśmy o romantycznej historii świętej, ale o to, że nie umieliśmy realnie ocenić swego położenia, tak jak nie umieliśmy odróżnić śmiałych planów politycznych od politycznego szaleństwa. Zastanawiający jest także nasz dzisiejszy stosunek do problemu polskiego kolonializmu. Z prac historyków nie rysuje się wyraźnie geneza problemu: do śmierci Piłsudskiego kolonializm drzemie na obrzeżach polskiej polityki. Najpierw jest marginalizowany (Beck śmiał się, że polskie kolonie zaczynają się w Rembertowie), potem wspierany z ukrycia. Na zewnątrz miało wyglądać tak, że Polacy pragną kolonii spontanicznie i że rząd, formułując politykę kolonialną, po prostu odpowiada na te pragnienia. Czy jednak z tych zawyżonych racji polityki zagranicznej wynika wprost, iż akcja kolonialna była czystą propagandą? Czy burzliwa historia Ligi, podjętych przez nią wypraw i działań, nie otwiera jakiejś innej ścieżki myślenia?

---

*urodzin*, PWN, Warszawa 1969; T. Białasa *Liga Morska i Kolonialna 1930–1939*, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1983; Z. Bujkiewicz *Aspiracje kolonialne w polityce zagranicznej Polski w okresie międzywojennym*, Lubuskie Towarzystwo Naukowe, Zielona Góra 1998. Prace te dostarczyły wielu faktów, ale uchylily się od odpowiedzi na pytanie, skąd wzięło się w międzywojennej Polsce zainteresowanie dla kolonii.

# Abstract

**Grażyna BORKOWSKA**

**The Institute of Literary Research of the Polish Academy of Sciences  
(Warszawa)**

## Polish colonial experience

The article presents the history of the Maritime and Colonial League, an episode from the history of Polish colonialism, whilst also posing the following two questions: (1) How to explain the phenomenon of popularity of colonial slogans in the Poland of 1930s: was it only due to propaganda-related concerns? And, (2) how to explain no interest for colonial issues in the time of intensified (and problematic) transference of postcolonial criticism tools into the Polish/European soil?